Nr. 30. Lwów, dnia 2. września 1900. **Tom I.**

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA **Lwów, pl. Marjacki 6.**

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

TRZYNASTKA.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE.

I.

Godzina dziewiąta z minutami...

Pociąg pospieszny zmierzający z Krakowa do Wiednia do drogi gotowy...

Podróżnych niewiele, jak to bywa zazwyczaj w piątki, zwłaszcza, gdy jak w danym wypadku feralny dzień łączy się z trzynastą datą miesiąca.

Tyle widocznie pośród nas przesądnych, tyle zgnębionych przypadłościami losu i w obec tego drżących z obawy nowych ciosów!

Co do mnie, nie jestem fatalistą, a raczej jestem nim na punkcie trzynastki we wprost odwrotnym kierunku

Cyfra ta łączy się w mojem życiu z najpomyślniejszemi faktami, a nigdzie nie zaznałem tylu chwil radosnych, co w pewnym domu nadpełtwiańskiej stolicy pod Nr. 13.

To też dzień ten specjalnie wybrałem do podróży, uważając za pomyślny *omen* zbieg dwóch „feralności". Ale powtarzam, widocznie nie wielu ludzi dzieliło moje przekonania, ponieważ pociąg był niemal pusty.

W *sleeping-car*, w którym zająłem miejsce, zastałem jednego tylko towarzysza.

Był to młodzieniec przystojny o nader wykwintnych ruchach i postaci, ubrany w strój podróżny, według wyrafinowanych przepisów *savoir vivre*'u zastosowany. Postawę miał okazałą; wyglądał na arystokratę rodowego i finansowego zarazem.

Przy troskliwej pomocy naszego konduktora, ułożyliśmy rzeczy w oddzielnych przedziałach, poczem stanąwszy w korytarzu wagonowym, oparliśmy głowy o szyby spoglądając na słaby ruch oficjalistów kolejowych i przerzedzającą się garstkę „odprowadzających."

Nagle w drzwiczkach wagonu zarysowała się wysmukła postać kobiety, spowita w ciemną rotundę. Twarz przybyłej przysłaniała gęsta woalka, z pod której jaśniały płomienne źrenice. Niespokojny wzrok przybyłej prześlizgnął się po mojej osobie i skierował się wnet, jakby z rodzajem zawodu w inną stronę.

W tejże chwili z ust mojego towarzysza wyrwał się okrzyk radosnego zadziwienia:

— Pani tu! Tutaj!...

I rzucił się ku drzwiom, podał skwapliwie rękę przybyłej i pociągnął ją tkliwie w głąb swego przedziału.

Do uszu moich dochodziły płynące jak szmer z drżących usteczek słowa:

— Nie chciałam rozstawać się z panem bez serdeczniejszego pożegnania...

— Ale jakże upozorowałaś przed mężem nieobecność swoją o takiej porze?

Nie słyszałem odpowiedzi.

Drzwi przedziału były szczelnie zamknięte. Konduktor *sleeping-caru* spoglądał na mnie z wielce wymownem mruganiem oczu. Widocznie odgadł zarówno jak ja — nie trzeba było na to wielkiej domyślności — iż pochwyciliśmy

w przelocie epizod romansu, który miał zakończyć czy też przerwać „pospieszny“ z złowieszczem syczeniem pary, przygotowujący się do odlotu.

II.

I znowu milczenie zaległo naokoło mnie, milczenie tak zupełne, iż po za zamkniętemi drzwiami „kompartymentu“ słyszałem słowa urywane, głębokie westchnienia i pocałunki, prawdopodobnie zroszone łzami.

Nagle w skutek gwałtownego zetknięcia parochodu, widocznie przyczepionego do wagonów zachwiałem się. Drzwi prowadzące do korytarza roztwarły się gwałtownie.

Na progu stanęła młoda dama

Podniesiona woalka dozwoliła mi podziwiać idealny wdzięk subtelnej twarzyczki, której niezwykły urok podnosiła interesująca bladość. Skierowała się ona wraz z towarzyszem ku konduktorowi, któremu tenże rzucił sucho pytanie.

— Kiedy ruszamy?

Konduktor wyciągnął zegarek.

— Mamy jeszcze dwie minuty czasu. Czy pani wysiada?

— Tak — wycedził młodzieniec.

W tej chwili dało się słyszeć ponowne szarpnięcie.

Niepokój zmącił wzrok nieznajomej pary.

— Ależ pociąg już jedzie! zawołała kobieta z najwyższym przestrachem.

— Prawda; zegarek mój spóźnił się widocznie o dwie minuty — pochwycił konduktor zabierając się wnet do regulowania czasomierza.

Istotnie jechaliśmy.

Ruch wolny pierwiastkowo, wzmacniał się, stawał się coraz mniej rwącym, a zarazem bardziej przyśpieszonym, a po upływie jakiej minuty, szybowaliśmy lekko i równo w wolną przestrzeń.

Podwójny okrzyk grozy wybiegł z ust przerażonej pary.

Młoda kobieta rzuciła się na ławeczkę śmiertelnie blada, złamana. Towarzysz jej w gwałtownej mimice i giestach wyrażał uniesienie gniewu. Niepohamowana rozpacz obojga połączyła mimowolnych świadków katastrofy węzłem odsłoniętej tajemnicy i sympatycznego spółubolewania.

To też, nie zważając na obecność konduktora i moją, młoda kobieta z twarzą wykrzywioną przestrachem, jęczała pośród nerwowego łkania.

— Jestem zgubiona .. zgubiona!...

Młodzieniec starał się ją uspakajać, ale sam był tak zmieszany i daleki od zachowania zimnej krwi, że z ust jego wybiegały słowa nierozważne, niezręczne, podwajające rozpacz nieszczęśliwej, która w oczach naszych pokutowała tak srodze za słabość serca.

Pragnąc ocalić albo chociaż wyjaśnić sytuację, zapytałem konduktora:

— Czy nie ma sposobu zatrzymania pociągu?

— To niepodobieństwo!

— Żądaj pan czego chcesz! Majątek ofiaruję za zatrzymanie pociągu.. — wołał podniesionym głosem młodzieniec, szarpiąc w przystępie najwyższego rozdrażnienia rękaw konduktora.

Zwracając się ku mnie, dodał:

— Nie mam zaszczytu znać pana. Ale widzę, żeś człowiekiem serca. Pomagaj! Ratuj! Zrób dla nas to, cobyś dla siebie uczynił w danym wypadku. Pani jest damą z towarzystwa... zamężną. Musi być w domu przed jedenastą pod groźbą najstraszniejszej katastrofy.

— Przed jedenastą? — zabrał głos konduktor — ależ to niepodobna! Pospieszny, omijając stacje pomniejsze, zatrzymuje się dopiero o jedenastej z minutami...

Wyjął z kieszeni rozkład jazdy.

— Tak. Nie mylę się. Jedenasta, minut piętnaście.

Wyrwałem mu z rąk książkę. Rozpatrywałem plan pociągów z koleji i doszedłem do wniosku, że lekkomyślna istota, która rzuciła przed chwilą na kartę honor, a może i życie, przynosząc ukochanemu w darze ostatni pocałunek, będzie mogła powrócić do Krakowa dopiero o czwartej z rana.

III.

Trzeba było po dojściu do owego wniosku przedstawić interesowanym, jak się rzeczy miały.

Wynikł ztąd zdwojony wybuch łez, szlochań i okrzyków.

Zdaje mi się, że gdybyśmy jej wszyscy

nie powstrzymywali, rzuciłaby się przez okna wagonu.

Powtarzała wciąż, tonąc we łzach:

— Mój mąż!... Moje dzieci! Co im powiem? Jestem zgubiona. Wolałabym stokroć umrzeć...

Przez jakie pół godziny pozostawała w podobnym stanie gniewnego wzburzenia... Jakże daleką od niej wydawała się miłość, której padła ofiarą... Do człowieka, który był mimowolnym sprawcą jej rozpaczy, zdawała się czuć niechęć, a nawet odrazę.

Staliśmy wszyscy obok niej poruszeni głęboko, milczący, bezsilni.

— Może należałoby zamiast oddawania się rozpaczy, pomyśleć nad upozorowaniem przewlekłej nieobecności — wtrąciłem wreszcie nieśmiało.

Zerwała się, imponująca, zbuntowana.

— Pod jakimże pozorem osobą mego towarzystwa mogłaby powracać do siebie o czwartej z rana? Następnie, zwracając się do przyjaciela, rzekła: — Nie mogę już powrócić do domu — zawładnąłeś mojem życiem, zatrzymaj je...

Ach jakimże człowiek bywa podłym egoistą!

Spojrzałem z ciekawością na kochanka, którego ofiarą padła ta zachwycająco piękna istota. Spodziewałem się, iż z gorącym wybuchem serca padnie do stóp ubóstwianej, uspokoi ją, pocieszy, usprawiedliwi.

A on? Zaczął jąkać jakieś słowa bez związku, z miną wielce kwaśną i zakłopotaną...

Jedna ta chwila, błysk sekundy, dała kobiecie poznać więcej aniżeli dotychczasowe życie całe..

Był to w istnieniu jej moment decydujący.

Zmierzyła młodzieńca wzrokiem pełnym nietajonej wzgardy, i nie odpowiadała ani słówkiem na niezręczne usiłowania zatarcia niemiłego wrażenia.

O jedenastej minut pietnaście, pociąg zatrzymał się na stacji.

Młoda kobieta, bez słowa pożegnania rzuciła się ku drzwiom. Pospieszającego za nią młodzieńca odepchnęła z lekka, przyjmując moją pomoc przy wysiadaniu.

Na peronie, wyciągnąwszy ku mnie drobną rączkę, szepnęła:

— Dziękuję panu.

I zniknęła w ciemnościach nocy.

Nie widziałem jej od tej pory, choć wzrok, którym objęła mnie na pożegnanie, dziwnie ponury i rozpaczliwy, prześladuje mnie niejednokrotnie. Co się z nią stało?

Czy uciekła w dal ulegając smutnemu wykolejeniu? Czy odebrała sobie życie lub też... powróciła najspokojniej do domu? Nie wiem. To tylko pewna, że jeżeli ocalała z groźnej katastrofy i naprawić zdołała krok fałszywy, została na zawsze wyleczoną z manii do romantycznych przygód.

* * *

Jaki ma związek z całem tem zdarzeniem trzynastka, — przesądzać nie będę. Przypuszczam tylko, iż liczbę jej nieprzyjaciół powiększył mój towarzysz podróży, który wysiadł nad ranem w Wiedniu, nie zamieniwszy ze mną ani słóweczka.

Spotykałem go później kilkakrotnie w salonach galicyjskiego *high-life'u* — w którym cieszył się opinją skończonego dżentlemena, jednego z najgodniejszych przedstawicieli rycerskiego honoru — ale pomimo kilkakrotnych przedstawień, nie poznawaliśmy się jakoś nigdy...

Galileusz.

BLANKA HALICKA.

PRZEZ MIŁOŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Helena usiadła obok Mimi, śledząc oczyma Jana, czy nie myśli do nich się zbliżyć.

W tem ujrzały panny wchodzącego Maryckiego, bliskiego sąsiada Zalesia; był to stary kawaler, lubiony ogólnie, bo zabawny był i wesoły, i zawsze pełno miał nowinek do opowiadania.

— Ach, panie Karolu, czy to ładnie się tak spóźniać, rozległ się głos pana Rożyńskiego; myśleliśmy

już, że pan nie przyjedzie, czy kochany sąsiad wie, że to już północ dochodzi?

— Mój drogi panie Franciszku, przepraszam najmocniej, że zjawiłem się tak późno — odparł przybyły; jadę prosto ze Lwowa, i byłbym wybrał się wcześniejszym pociągiem, ale spotkałem tego biedaka Stanieckiego, i on mnie zatrzymał. Wyobraźcie sobie, co tego nieszczęśliwego człowieka spotkało! Ta pani Jadwiga, taka śliczna, taka miła, dostała nagle obłąkania, odwiózł ją właśnie do zakładu; podobno zupełnie nieuleczalna! Serce się kraje na widok jego rozpaczy; on ją tak ogromnie kochał! Straszny to dramat! I to tak poszło nagle; przed tygodniem jeszcze widziałem ją zupełnie zdrową na balu we Lwowie.

— Nie może być! „Co też pan mówi!“ „Straszne nieszczęście!“ — rozległy się dokoła wykrzykniki zdziwienia, otoczono starego kawalera, wszyscy naraz go wypytywali, tak że nie wiedział już do kogo wpierw się zwrócić; wiadomość przywieziona przez niego zrobiła ogromne wrażenie, gdyż wszyscy obecni znali doskonale Staniecką i wielu z nich również jak Maryccy widziało ją też na tym balu przed tygodniem.

Helena, jak skamieniała, nie ruszyła się z miejsca; widziała jak Jan wstał, kredowo, zielonawo blady, i chwiejnym, powolnym krokiem, jak człowiek ugodzony śmiertelnym postrzałem, szedł ku grupie stojącej na środku.

Przystanął i słuchał; nikt nie zważał na niego, wszyscy zbyt byli zajęci świeżo usłyszaną wieścią; nie odezwał się ani słowem, tylko wyraz jego oczu robił się coraz błędniejszy, i twarz coraz szarawo bledsza.

Nagle odwrócił się, i jak nieprzytomny, jakby lunatyk idący na oślep, nie widzący nic dokoła, wyszedł z salonu.

Helena patrzyła wciąż w niego, niezdolna przemówić ani od niego oderwać oczu.

Wszystko to stało się tak prędko, tak nagle, że nie była jeszcze w stanie myśli zebrać.

Ale gdy ujrzała Jana wychodzącego, strach okropny, szalony, lęk o niego, żeby sobie co złego nie zrobił, żeby z rozpaczy nie targnął się na swoje życie, wyrwał ją z tego osłupienia i zatrząsł nią, jak wicher liściem jesiennym.

Wstała z krzesła, i nie wiedząc prawie, nie zastanawiając się co robi — poszła za nim.

Nie uważała, że w chwili gdy opuszczała salon, drugiemi drzwiami skradała się za nią kocim ruchem mała, czarna figurka Warskiego. Przeszła pokój jeden, drugi i trzeci — Jana nie było nigdzie.

Wreszcie w ostatnim z rzędu, oświetlonym wielką wiszącą lampą, ujrzała go siedzącego bez ruchu, z twarzą rękami zakrytą

Bezradna stanęła w progu

Co ona zrobi? Co mu powie?

A zostawić go tak samego z jego rozpaczą nie mogła, nie mogła!

Stała tak długą chwilę milcząca, nie śmiąc odezwać się, gdy w tem on odsłonił twarz i ujrzał ją.

Widać nie chciał, aby ktokolwiek był świadkiem jego bolu nawet ona. Za dumnym był na to.

Z trudem wstał z fotelu, wyprostował się i rzekł dziwnie zmienionym, przerywanym głosem:

— Panno Heleno, ja proszę... niech pani powie państwu Rożyńskim.. pani powie... że... przepraszam... ale nie mogę zostać dłużej, nie mogę.. czuję się taki chory . chciałbym już do domu..

I rzeczywiście, blady był jak ściana i drżał cały, a głos łamał mu się i trząsł jak w febrze.

Postąpił parę kroków, lecz w tem zachwiał się i upadł napowrót ciężko na fotel

Helena przerażona wybiegła szybko jak wicher — i w parę sekund wróciła, niosąc butelkę starego wina i flaszeczkę wody kolońskiej.

Jan oczy miał przymknięte; głowa jego oparta była na poręczy fotelu oddychał ciężko

Dała mu wypić kieliszek wina, skropiła jego twarz i skronie wodą kolońską, drżąc sama jak liść ze wzruszenia i przestrachu.

Po chwili otworzył oczy, i ujrzawszy Helenę pochyloną nad sobą, rzekł słabym głosem:

— Dziękuję pani, dziękuję.. Pani taka dla mnie dobra...

— Lepiej panu już? — pytała serdecznie nachylając się ku niemu.

On usiadł prosto i przeciągnął ręką po czole.

— O, dobrze mi już, dobrze; to nic, to głupstwo było, taki chwilowy tylko zawrót. Ale muszę już wracać do domu, muszę — i chciał wstawać z miejsca

— Nie, niech się pan nie rusza — zawołała Helena, niech pan zaczeka jeszcze chwilkę.

Wybiegła znów z pokoju, i po chwili przyniosła mu filiżankę gorącej herbaty — zmusiła go do wypicia jeszcze jednego kieliszka wina.

On machinalnie jak nieprzytomny robił wszystko co chciała, i tylko niewiedzieć dla czego, przyszedł mu w tej chwili na myśl jakiś obraz, widziany gdzieś dawno, dawno.. lecz gdzie? nie mógł przypomnieć sobie. Widział go jednak wyraźnie przed sobą, tę siostrę miłosierdzia o anielskim wyrazie twarzy, pochyloną nad chorym z taką litością niemierną..

I wydało mu się, że ta w balowej sukni, z kwiatami we włosach, dziwnie podobna do tamtej w białej zakonnej zasłonie.

Chwilę siedzieli tak w milczeniu, nie wiedząc, że z przyległego pokoju, zza aksamitnej kotary śledzą ich czyjeś oczy, ciekawe, szydercze, zjadliwe.

Wreszcie Jan wstał i żegnać się zaczął, choć ona, pełna niepokoju, prosiła go, aby zaczekał aż mu zaprzęgną, choć tak prosiła, aby nie szedł piechotą taki duży kawał drogi, sam, w tę noc mroźną i ciemną.

— Nic mi się nie stanie — rzekł z goryczą — a żebym nawet wiedział, że się stanie, tobym może właśnie tembardziej poszedł.

Zbliżył się do niej, i wziął jej rękę.

— Żegnam panią i raz jeszcze dziękuję... za wszystko. Pani była zawsze taka dla mnie ogromnie dobra, od samego początku, od chwili kiedyśmy się lepiej poznali, że doprawdy nie wiem nawet, czem sobie zasłużyłem na to. Ja nie mam słów, aby pani podziękować... niech to Bóg wynagrodzi!

Helenę dreszcz przejmował, gdy on ją tak żegnał, jak gdyby na wieczne rozstanie

Spojrzała na niego takim wzrokiem, że gdyby nie był nawpół nieprzytomny z bólu, to jedno spojrzenie byłoby mu wypowiedziało całą jej miłość bezgraniczną.

Nie, nie, ona nie potrafi go tak pożegnać, nie pozwoli mu tak odejść, nie powiedziawszy mu jednego słowa serdecznej pociechy!

— Panie Janie, ja pana przepraszam bardzo, bardzo... wiem że nie powinnam tego mówić .. ale muszę! Niech mi pan nie weźmie tego za złe, ale ja widzę, że pan taki okropnie nieszczęśliwy... ja nie mogę patrzeć na to! Tak, całem sercem chciałabym panu pomódz, a nic nie mogę, nic! Niechże się pan uspokoi... niech pana Bóg strzeże i pocieszy! Nie gniewaj się pan, że to mówię, ale widzę, że pan cierpi, i choć jam obca.. choć niczem jestem dla pana... to przecież może nikt w świecie lepiej ode mnie panu nie życzy!

Umilkła, i zacisnęła zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Jan stał nieruchomy, i patrzył na nią w milczeniu.

W tej strasznej, śmiertelnej godzinie jego życia, nikt nie pomyślał o nim, nikt nie pożałował. Ona, ona jedna, ta dziewczyna o duszy jak kryształ czystej, ona jedna miała odwagę przyjść do niego, i wypowiedzieć swoją litość, swój żal nad nim.

Nie mógł przemówić, nie mógł wyrazić co czuł, wziął tylko jej rękę, i z czcią, z wdzięcznością pocałował — i wyszedł, w mroźną noc zimową, w ciszę, w ciemność, aby tam wypłakać ten ból piekielny, który mu serce szarpał

Szedł przed siebie bez celu, a nad nim wiatr huczał, i zdawał skarżyć się żałośnie. Zdawało mu się, jakby jakaś żelazna, dusząca obręcz sciskała mu skronie — nie mógł zapłakać, nie mógł wykrzyczeć, wyjęczeć swej męki.

A więc wszystko było skończone, skończone!

Ta czarodziejka, ta urocza, którą kochał zawsze, mimo wszystkiego, dziś dla niego i świata całego była już jakby umarłą!

Ona, ta umiłowana, zamknięta za kratą w domu obłąkanych!

Ścisnął głowę rękami i jęczał, jak zwierz raniony.

W tem, jakby jasny duch, stanęła mu w myśli Helena, z oczyma łez pełnymi, patrząca na niego, ach! tak litośnie, i mówiąca głosem cichym i słodkim:

— Pan taki nieszczęśliwy, ja nie mogę patrzeć na to! Tak chciałabym pomódz, a nic nie mogę, nic! Niech pana Bóg strzeże i pocieszy!

I na to wspomnienie, wydało mu się, że usunął się ciężar, tłoczący jego skronie, i zapłakał biedak jak dziecko

A na niebie migotały gwiazdy — wiatr huczał, i pustka dokoła i ciemność była dokoła.

. . . .

Po odejściu Jana, Helena stała długą chwilę nieruchoma, jak skamieniała. Jak długo to trwać mogło, nie wiedziała sama.

Opamiętała się dopiero na głos Chłońskiego, który wszedł, a raczej wpadł do pokoju, i zaczął prędko trzepać:

— Na miłość Boską, gdzie się pani zgubiła! Szukam pani jak szpilki po całym domu, bo zaraz będzie kolacja, a ja chciałem prosić o sąsiedztwo pani. Ale zdaje mi się, że pani nie bardzo tem uradowana; może wolałaby pani, żeby na mojem miejscu był kto inny, dajmy na to, n. p. Warski? — zakończył wesoło, patrząc na nią z przekorą.

— Z dwojga złego wolę już towarzystwo pana niż Warskiego — odparła w tymże samym żartobliwym sposobie, i biorąc jego ramię, poszła z nim do kolacji.

Jak długo to trwało, co ona sama mówiła, nie wiedziała nigdy później dokładnie; rozmawiała, śmiała się i odpowiadała machinalnie, myślami cała tam — przy Janie.

Potem, rozpoczęły się znów tańce, ach, co to była za męka! Miała tylko jedną myśl, jedno życzenie, żeby ta zabawa skończyła się już jak naj-

prędzej, żeby raz już ustał ten gwar, ta muzyka i te śmiechy, żeby nareszcie mogła zostać samą.

Dzisiejszy dzień, to może będzie dzień przełomu w jej życiu.

Tamta, choć żyła jeszcze, znikła już z pomiędzy żyjących, teraz, on był wolny... ale czy zdoła zapomnieć, przeboleć?

Ale ona go tak kochała! Czyż takie uczucie nigdy, nigdy nie doczeka się echa w jego sercu?

Ale w tem stanęła jej w myśli twarz Jana, tak pełna strasznej rozpaczy, i dziewczyna wobec tego cierpienia, wobec tej męki ukochanego człowieka zawstydziła się prawie marzeń o szczęściu własnem.

Warski nie odstępował jej dziś prawie, i wpatrywał się w nią z szyderczym, złym jakimś uśmiechem.

Raz, tańcząc z nią, spytał ją nagle:

— Gdzież to Zatorski? Nie widzę go już od paru godzin?

— Wrócił do siebie — brzmiała krótka, sucha odpowiedź.

— Naturalnie, już sama przyzwoitość wymagała, żeby czuły Romeo nie tańczył, podczas gdy Julia zamknięta u czubków.

— Myśli pan, że powiedział coś bardzo dowcipnego, a ja tylko to panu powiem, że trzeba nie mieć serca, żeby się naśmiewać z cudzego nieszczęścia — odparła Helena ostro.

Od tej chwili, Warski nie zbliżył się już do niej więcej.

Tańczono do rana, ochoczo, szalenie; ranek już świtał, blady, posępny, gdy po białym mazurze całe towarzystwo przeszło do jadalnej sali i tam zasiadło do śniadania.

Helena wybrała sobie miejsce na samym końcu długiego stołu, umyślnie tam, gdzie dotąd nie usiadł nikt jeszcze, żeby nie być zmuszoną rozmawiać, i tak siedziała zadumana, w purpurowej swej sukni, a złote cekiny na jej szyi błyskały w blasku poranka, wpadającym przez okno.

W tem odwróciła się — Warski, mały, krępy, z czarną swoją bródką siedział obok niej, i patrzył na nią szyderczo.

— Przepraszam, że przerywam chwilę marzeń — zaczął — czy mogę zapytać, czemu pani dziś taka smutna? Wszyscy robią tę uwagę; jeszcze nie widziałem pani tak źle usposobionej; co się to stało? pytał dalej badawczo, przymrużając złośliwie swoje małe, świdrujące oczy.

— Mylisz się pan, wcale nie jestem dziś inną niż zwykle, przynajmniej dla pana zawsze jestem jednaka — odrzekła ostro, lodowato, bo znosić go nie mogła, a nieznośny natręt wciąż się jej narzucał.

— Pani doprawdy stworzona więcej do klasztoru niż do świata, odparł Warski na to szyderczo; dziś, to już widzę w pani wyraźne powołanie.. na siostrę miłosierdzia. Jeżeli mi wolno, radziłbym pani koniecznie ten zakon; pani umie z taką troskliwością pielęgnować chorych i... ratować mdlejących!

Cała krew uderzyła Helenie do twarzy na te słowa.

A więc ten nikczemny człowiek widział wszystko, podsłuchał jej całą z Janem rozmowę.

Gniew i szalone zmieszanie ją ogarnęły, ale oburzenie przemogło, i z brwią ściągniętą, z pałającymi policzkami rzuciła mu pełne wzgardy spojrzenie i słowa:

— A dla pana, najstosowniejszym byłby zawód szpiega. Odpowiada on zupełnie pańskiemu charakterowi.

Warski wysłuchał tego z uśmiechem lekceważenia, jak wybuchu gniewu dziecka, popatrzył na nią, i wydała mu się ładną z tymi rumieńcami oburzenia i z tym groźnym wzrokiem.

Złość go przejęła na myśl, że wszystkie jego trudy i zabiegi rozbiły się o jasne wąsy i szabelkę ładnego ułana, i głosem drżącym z tłumionego gniewu rzekł:

— O! niech się pani tak nie unosi! Cóżem winien, jeżeli przypadkiem byłem świadkiem tak wzruszającej, czułej sceny!

— Jeżeli pan podanie kieliszka wina choremu człowiekowi nazywa czułą sceną... to... żałuję pana!

— Zapominasz pani z jak serdeczną troskliwością trzeźwiłaś go pani wodą kolońską, jak znosiłaś mu pani herbatę, wino, koniak, ocet i oliwę, sól i pieprz, czy ja wiem już co? — ciągnął dalej Warski ze zjadliwym sarkazmem.—Chętnieby się niejeden zgodził chorować, byle go ratowały te śliczne rączki! Ma foi! Szczęśliwy człowiek z tego porucznika! Panno Heleno, zechciej mnie pani posłuchać jeszcze chwilkę, dodał widząc że dziewczę zrywa się gwałtownie z krzesła; czyż pani nie widzi, że te wszystkie rozpacze, to pozowanie na byronowskiego bohatera, i w końcu ta cała tragi-komedja, którą dziś wyprawił w oczach pani, to tylko wszystko zręczne sztuczki na obałamucenie pani? Serca kobiet zdobywa się dwojakim sposobem, wzbudzając w nich albo podziw, albo litość. Tutaj, użyty był ten drugi środek. Swoją drogą kochał się w Staniećkiej, co nie przeszkadza że chętnie ożeniłby się z majętną panną, jaką pani jesteś!

Helena nagle zwróciła się ku niemu, i śmiało popatrzyła mu w oczy.

— Więc ja tylko dla niego jestem dobrą partją, a dla pana nie? I czemuż pańskie grzeczności miałabym brać za dowód prawdziwego uczucia, jeżeli, jak pan mówi, wszędzie jest tylko fałsz i wyrachowanie?

Na ten niespodziewany zwrot, Warski nie wiedział już co odrzec.

A ona z wzrastającem oburzeniem mówiła dalej:

— Kto zdolnym jest poniżyć się aż do słuchania pod drzwiami, do szpiegowania kobiety, ten łatwo i na drugiego rzuci potwarz. A teraz mówię panu, że pan Zatorski nie potrzebowałby uciekać się do takich sztuczek, gdyby on prosił o moją rękę, toby ją miał, i z dumą głosiłabym przed całym światem, żem jego narzeczoną a dla pana mogę mieć tylko wstręt i pogardę.

A jemu oczy zabłysły zawiścią.

— No, no, nie tak ostro, radziłbym pani lepiej, być ze mną w zgodzie. Jako świadek romantycznej sceny z naszym pięknym porucznikiem, mogę być nader niebezpieczny. Jeżeli mnie pani ładnie o to poprosi, będę dyskretny, ale gdy dłużej jeszcze zmuszony będę słuchać tak niemiłych komplementów o mojej osobie, w tym razie nie ręczę za moje milczenie.

(C. d. n.).

SZAROTKA

przez **E. WERNER.**

Przekład Stanisława Miłkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Przecież nie jest nim Heintz Kronek, bo ten tylko przesiaduje w chacie Ambroza i wpatruje się w góry. Myślałam że pan nigdy już nieodszuka drogi do doliny.

— I myślisz, że lepiejbym uczynił, gdybym zamiast w góry wpatrywał się w twoje niebieskie oczy? Po części masz słuszność, tylko że ja bardzo lubię starego przewodnika. Czy zazdrościsz Ambrozowi?

Gundel nie odpowiedziała, poczem zmieniając przedmiot rozmowy:

— Podobno chcesz pan w tych dniach dostać się z nim, aż na sam szczyt gór.

— Tak, jak tylko na to pozwoli stan powietrza.

— Jabym tam na to nieodważyła się.

— Dla czego Czy masz co przeciwko staremu?

— Nie, ale mu nie ufam

— Ambrozowi? W całej okolicy cieszy się dobrą opinją.

— Może być, ale we mnie wzbudza obawę. Nie chciałabym nigdy z nim się pokłócić.

— Ja także – odpowiedział Heintz ze śmiechem — Będę się miał teraz na większej baczności, chociaż jesteśmy przyjaciółmi i nie znalazłbym nigdzie lepszego przewodnika.

Gundel spuściła oczy, mnąc w rękach fartuszek.

— Niech i tak będzie. Nie zapomnę nigdy, co o nim raz opowiadał mi mój ojciec. Znał on dobrze w młodych latach przewodnika Ambroza. Rzeczywiście był on jednym z najdzielniejszych i najbardziej pożądanych Lecz kiedy jednego razu poszedł z obcym, aż na szczyt śnieżny gór, w drodze zaskoczyła ich burza, nie mogli iść dalej, zbłądzili i nakoniec...

— Co, nakoniec?

— Ambroz bezpiecznie powrócił do swej chaty, a obcy zginął w śniegu.

— Bardzo to smutna historja, chociaż, ja sądzę, nie winien temu przewodnik, nieszczęście zawsze wydarzyć się może.

— Ojciec mi mówił, że jeżeli Ambroz głowy nie stracił i uratował swoje życie, to mógł także uratować i obcego. Nie bardzo to pięknie ze strony przewodnika, wystawić na *sztych* swego towarzysza.

— Gundel, powiadam ci, że twój ojciec się myli. Ambroz nigdyby nie naraził nikogo na śmierć, nie trwoży go wcale niebezpieczeństwo, już nie raz miałem tego przykłady.

— A jednak wtenczas zląkł się. Siedział sobie w chacie, gdy tymczasem opuszczony obcy, ginął, przysypany śniegiem. Dużo o tem mówiono — ciągnęła dalej dziewczyna i mocno mu to zaszkodziło. — Nikt

go już prawie nie zamawiał i odtąd zrzekł się obowiązków przewodnika

— Jakoś to inaczej być musiało. Niktby nie wierzył takiemu przewodnikowi, któryby kazał sobie płacić a niedbał o niczyje życie. Ale stary Ambroz, to natura z żelaza, który jest oswojony z wielkiemi niebezpieczeństwami w Alpach, nie mógł więc sam uciec a towarzysza pozostawić na łup śmierci.

— Jeżeli pan lepiej o tem wiesz ode mnie, niech będzie pańska racja — odparła dziewczyna mocno urażona. — Ostrzegam pana jednak niech pan nie idzie z Ambrozem na szczyt śnieżny, bo się wydarzy drugie nieszczęście.

— Cożby cię to obchodziło — rzekł drażniąc się Heintz. Właściwie muszę odbyć tę wycieczkę, choćby dla przekonania, czy Gundel rzeczywiście obawia się o moje życie. A cóż mi zaofiarujesz, jak ci przyniosę z góry garść śniegu?

Dziewczyna wprawdzie nic nie odpowiedziała, lecz znać było po niej że jej ta rozmowa niezmiernie się podoba.

Tak dosięgli do ostatniego złomu góry, gdzie się las kończy a zaczyna park willi. Rozstali się ze sobą w najlepszej przyjaźni, dziewczyna poszła powoli. Heintz zamierzył dogonić ją, gdy w tem ujrzał panią Rehfeld, siedzącą na mchu, na podesłanym pledzie.

Był to wyjątkowy wypadek, że Ewelina weszła na złom skalisty i do tego bez niczyjej pomocy, bo przy niej nie było nikogo Przy panującej ciszy musiała ona słyszeć wesołą rozmowę i poznać głos swego młodego kuzyna, gdyż twarz jej miała wyraz surowy, co się nigdy prawie nie zdarzało.

Heintz stanął a potem dość szybko zbliżył się do siedzącej damy.

— Pani tutaj i do tego sama?

Ewelina powitała go lekkiem poruszeniem głowy, potem wzrok jej zwrócił się ku stojącej w dali dziewczynie. Znała ona dobrze córkę właściciela gospody z doliny. Młoda dama zawsze była przystępną i łagodną dla każdego, tym razem przecież odezwała się:

— Nie przeszkadzam ci, zapewne życzysz sobie odprowadzić dziewczynę do domu.

Jaskrawy rumieniec ukazał się na twarzy młodzieńca, zrozumiał on ton mowy swej kuzyny.

— Mylisz się pani — rzekł. — Spotkaliśmy się przypadkowo i nasze drogi rozeszły się Dobra noc Gundel — zawołał głośno i kłaniaj się swemu ojcu.

Gundel, która dotąd stała w miejscu, wsłuchując się, czy kto z obu państwa napowrót ją nieprzywoła, pobiegła prędko drogą.

— Czy wieczorne powietrze nie zaszkodzi pani — rzekł Heintz. Już słońce prawie zaszło.

— Ciepło jakby w lecie, a przytem jestem odpowiednio ubraną. Zdaje się jesteś w bardzo zażyłym stosunku z Gundel Opowiadał mi też Hellmar, że w górach porobiłeś dużo znajomości.

— Nie tyle, co Guido.

— Wiem, on zbiera tradycje ludowe i studjuje tak chłopów jak i strzelców, lecz sam się przyznał, że życie tych ludzi niezmiernie dla niego wstrętne Jego delikatna, czuła natura nie znosi tej surowizny obyczajów, tego dzikiego, można powiedzieć, sposobu spędzania dni, na pijatyce i innych wybrykach.

— Takie właśnie jest mniemanie Hellmara. Tę surowiznę obyczajów, jak się pani wyraziła spotyka się tylko wyjątkowo, ale w ogóle ten lud silny, zdrów, pełen odwagi, w ciężkich warunkach życia, wzbudza tylko współczucie. Potrzeba jedynie umieć do niego przemówić.

— A słyszałam, słyszałam, rzeczywiście oswoiłeś się z ich djalektem i umiesz przemawiać, nawet potrafisz zniżyć się do pojęcia takiej prostej dziewki, jak Gundel — gusta są rozmaite

— Salonowym językiem rzeczywiście nie mógłbym przemawiać do Gundeli; jeżeli chcę z nią mówić, używam ludowych wyrażeń, do których przywykła — rzekł Heintz, zdejmując kapelusz.

Ewelina dotknęła jego ramienia.

— Nie nosisz już szarfy. Czy rana się zagoiła?

— Nie warto o tem mówić. Nieznaczna szrama, która mi jakiś czas przeszkadzała do pisania i mam nadzieję że już będę mógł z wiosną towarzyszyć ojcu na wycieczce, bo inaczej urwałbym się z łańcucha.

— Z łańcucha? Czy pod tym wyrazem rozumiesz urzędowe zajęcie? Co też inniby dali za to, gdyby w twoim wieku mogli pracować w ministerjum i posiadać takiego ojca jak twój, który ci wszelkiemi środkami stara zapewnić przyszłość.

Był to znowu kaznodziejski ton, w którym Ewelina zaczęła przemawiać do swego kuzyna, który jak zwykle stał w opozycji a obecnie czuł się nawet mocno dotkniętym niestosowną przemową.

— Czy pani masz taką pewność co do mojej przyszłej karjery, bo ja jej zgoła nie mam. Mój ojciec codziennie mi opowiada, że nigdy nie zrobię żadnej karjery i ja podzielam jego zdanie. Nie jestem zrodzony do pańszczyzny biurowej.

— Jeżeli pan nazywasz gorliwą, sumienną pracę pańszczyzną, to inaczej być nie może.

— Gorliwą, sumienną? Ależ na Boga, my mali urzędnicy nie mamy prawa myśleć o wysokich po-

sadach, lecz jedynie zadawalniać się musimy zwykłem przepisywaniem, a to jest nudne niesłychanie. Pani nie wyobrazisz sobie, jak nuży, jak zabija samodzielność ten system biurokracyjny, to przykucie do biórka, ta niemożność skupienia myśli jakiejkolwiek. Mnie zawsze coś pędzi, coś wabi do rzucenia wszystkiego za jednym zamachem i odzyskania swobody, swobody!

— I wówczas pędzisz pan na złamanie karku, wówczas to niebaczny skok lub dosiadanie konia, sprowadza ranę w ramieniu... tak się przynajmniej starasz tłumaczyć.

Młody człowiek niezmiernie się zdumiał.

— Więc widocznie pani inaczej to sobie wyjaśnia, jak się zdaje.

— Tak, bo słyszałam, że Henryk Kronek przed czterema tygodniami miał pojedynek w stolicy i był raniony.

— Od kogo wiesz pani o tem?

Ewelina milczała

— Wreszcie zbyteczne z mojej strony zapytanie, któżby jeżeli nie Guido był tym delatorem. On o wszystkiem przecie wiedział. Był moim sekundantem, ale nie w tym celu, aby mię zdradził; na przyszłość będę się strzegł, powierzania mu podobnie honorowej sprawy.

— Na przyszłość? — powtórzyła wystraszona Ewelina. Więc podobnie honorowe sprawy są rzeczą zwykłą dla ciebie? Nie wierzyłam w twoją drapieżność, gdyż oddawna uważam jak lekko traktujesz życie To cię gniewa Henryku, ale nie mogę się powstrzymać od oburzenia W ostatnich czasach w pewnych sprawach otrzymałam niejakie informacje co mię zmusza do rozmówienia się z tobą na serjo, bo chodzi tu o przyszłość istoty, najdroższej mi na tym świecie.

Zatrzymała się, spodziewając się odpowiedzi, gdy przeciwnie Heintz ją zapytał:

— Czy mię rzeczywiście Guido odmalował w tak okropnych kolorach?

Lekki rumieniec zabarwił twarz Eweliny, ale jednak wnet odzyskała spokój.

— Guido Hellmar? Tak, to jego przyjacielska usługa.

— Więc ostatecznie przyznajesz, że twój przyjaciel minął się z prawdą?

— Czyny być mogą, ale ich barwa za silna. Więcej nie mogę nic powiedzieć. Nienawidzę denuncjacji.

Ostatnie wyrazy wypowiedział tonem niezmiernie gwałtownym.

— Jesteś w błędzie, jeżeli posądzasz Hellmara o tak haniebne zdradzenie tajemnicy. Zupełnie swobodnie, w zwykłej rozmowie, wypowiedział swoje zdanie, jednakże była to tylko odraza do czynów podobnych nie zaś denuncjacja Przytem natychmiast starał się ciebie usprawiedliwić. Przy tej okazji poznałam całą szlachetność jego charakteru, jest to o niemal illustracja jego pięknych utworów.

— A jeżeli kto powiedziałby pani, że ta osobistość nie jest tak czysta i idealna?

— Policzyłabym to na karb zawiści jego kolegów.

Heintz wstrząsnął się jakby z oburzenia

— Wreszcie odbiegliśmy od właściwego tematu kazania, którego z upragnieniem oczekuję, rzekł.

Ton ten dotknął nieprzyjemnie Ewelinę, powstała a głos jej miał brzmienie gniewne:

— Nie miałam zamiaru wypowiedzenia ci kazania, bo to byłoby daremne, jednakże muszę ci oświadczyć, że po naszej zobopólnej znajomości spodziewałam się innego rezultatu. Życzenie mojego zmarłego małżonka jest dla mnie świętym obowiązkiem, jakkolwiek doskonale pojmuję odpowiedzialność, na jaką narażam się, trzymając w ręku los jego dziecięcia. Obawiam się o przyszłość Kätchen w połączeniu jej z tobą i zrzekam się przyłożenia do tego ręki, bo przewiduję nieszczęście.

— A zatem droga pani zerwij ten układ, dopóki nie jest zbyt późno. Ja chętnie się zgadzam.

Ewelina spojrzała z przerażeniem na kuzyna. Spodziewała się uniewinnienia, próśb, przyrzeczeń poprawy, zamiast tego on się zgadzał zrzec swej narzeczonej i tego wszystkiego, co mogło zapewnić mu swietną przyszłość.

— Myślałam że pan kochasz Katarzynę! — rzekła. — Więc panu tak łatwo zrzec się jej ręki?

— Ponieważ widzę, że jest pożądanem moje ustąpienie jestem gotów.

— Bóg z wami! — dał się słyszeć donośny głos, co przerwało dalsze wyjaśnienia, które młody człowiek decydował się wypowiedzieć.

Henryk obejrzał się i Ewelina była mocno zdumioną ujrzawszy postać, która nagle pojawiła się przed nimi.

Był to stary człowiek w stroju góralskim, postać wyniosła, muskularna. Starzec, który pomimo bardzo późnego wieku wydawał się silnym, pełnym życia i młodości. Rysy jego twarzy miały w sobie coś energicznego, ślady żelaznej woli, zahartowane wiatrem i słońcem; z pod krzaczystych, ogromnych brwi błyszczały oczy szarej barwy ogniem prawdziwie młodzieńczym. Strój nosił zszarzany, dobrze zużyty. Ciężkie, gwoździami podkute trzewiki, które miał na nogach i alpejski kij równie okuty, zdradzały przewodnika alpejskiego.

— A! Jesteś Ambrozie — rzekł Henryk. — Czy szukałeś mię w willi?

— Tak panie Heintz — odpowiedział Ambroz zdejmując kapelusz na widok Eweliny. Chciałem panu oświadczyć, że z naszej wycieczki na śnieżysty szczyt, nic nie będzie, ponieważ droga stała się niedostępną

— I ja tak myślałem. Ciągłe deszcze poprzerywały ścieżki i drogi uczyniły niedostępne. Mieszkaniec wyższych gór, Ambroz, łaskawa pani, o którym już pani opowiadałem a który nauczył mię wszystkich tradycji górskich. Za jego pośrednictwem dowiedziałem się o zbiorowych duchach i czarodziejach alpejskiej okolicy, chociaż dotąd żaden z tych dziwolągów nieprzedstawił się mi jako żyjąca istota.

— Młody pan zawsze sobie żartuje, ale wszystko to prawda, proszę tylko popróbować — rzekł Ambroz zwracając się do damy.

Ewelina pragnęła aby rozmowa ta jak najprędzej się ukończyła, niezadowolona z przerwania poprzednio prowadzonej dyskusji.

— Czy pan coś podobnego widziałeś? — zapytał Henryk.

— Widzieć nie widziałem, bo to trudno, ale można wyśledzić. Pan Heintz pozna go, gdy się zbliży, a ja już poznałem takiego ducha, pierwszego dnia kiedy byliśmy tam razem. Kto temi oczami patrzy na świat, widzi więcej niż inni

— Uważa pani, że są ludzie, którzy mię nie uważają za niepomia — wyrzekł Heintz ze złośliwym uśmiechem. Jestem w wielkich łaskach u Ambroza i zawsze mi coś powie, chociaż jest tak milczący i nieprzystępny.

Ewelina doznała pewnej przyjemności słysząc wyrazy Ambroza, który z zapałem i uwielbieniem mówił o Henryku Heintz widocznie zdobył życzliwość i serce tego człowieka.

— Czy pan sam zupełnie mieszkasz na tym wysokim cyplu góry? — zapytała. Leży on na drodze do śnieżnego szczytu

— Mam starą kobietę do gospodarstwa i chłopca do bydła, więcej nikogo, bo mi żona dawno umarła. Samotna to wprawdzie chata, stoi na najwyższym szczycie góry, ale mi w niej dobrze i bezpiecznie.

— Przyjemnie w lecie, ale w zimie, gdy śniegi wszystko zasypią i pokryją, musi być strasznie na takiej wysokości, jesteś pan prawie jakby za żywa pogrzebiony, zwłaszcza gdy i droga w dolinie stanie się niedostępna z powodu nadzwyczajnych zamieci. Czy panu nie zagraża niebezpieczeństwo zasypania? Okropna rzecz ginąć w śniegu i ludzie, będąc opuszczonym, odciętym od całego świata, pozbawionym pomocy i ratunku od ludzi.

Umilkła i mimo woli cofnęła się o krok w tył. Ambroz stał nieporuszony, w jego twarzy nie zadrgał żaden muskuł, ale spojrzenie groźne wpił w postać tej kobiety. Uczuła ona jakby chłód pod siłą tego wzroku

— Umierać musimy wszyscy! — rzekł ponuro — Czy się umiera w ten lub inny sposób, rzecz obojętna. Zatem, panie Heintz, nie pójdziemy jutro na szczyt śniegowy, chyba za jakie dwa lub trzy dni, gdy się pogoda polepszy.

— Czy znasz pan dobrze drogę? — zapytał Heintz, bo mu przyszły na myśl przestrogi Gundeli Musi być bardzo uciążliwa i dla nieznających przedstawiać wielkie niebezpieczeństwo, gdy się przypadkiem wpadnie w dół zapełniony śniegiem.

Ambroz uderzył kijem z taką siłą, że się koniec zagłębił w ziemi, rozśmiawszy się głośno, szyderczo.

Czy pan się boisz? Jeżeli tak, to dajmy sobie spokój z wycieczką. Ja sądziłem, że pan jesteś innym człowiekiem niż wszystkie mieszczuchy, ponieważ tak odważnie przebiegasz góry, chociaż także możesz natrafić na rozpadliny i otchłanie. Nie narzucam się z mojem przewodnictwem. Bóg z wami!

Poczem odwrócił się i szybkim krokiem skierował w góry.

— Uchowaj Boże!.. wołał za nim Heintz, ale Ewelina odezwała się z pewną obawą.

— Szczególny człowiek! Nie pojmuję Henryku, jaką przyjemność znajdujesz w takiem towarzystwie. Czy nie uważałeś jego strasznego wzroku, jakim mię mierzył albo te jego uwagi o śmierci. Co on chciał przez to wyrazić?

Heintz wzruszył tylko ramionami.

— To zwykły jego humor i sposób mówienia. Przyjemnym bardzo, Ambroz nie jest, skały pomiędzy któremi żyje, nie odznaczają się większą surowością i twardością niż on i przyznaję, że dla mnie jest człowiekiem ciekawym, tajemniczym. Zajmuje mię ta natura pierwiastkowa.

Młoda kobieta była innego zdania, nie wyrzekła przecież ani jednego słowa. Obydwoje czuli, że rozmowę przerwaną bądź co bądź wznowić muszą, zachodziła tylko wątpliwość, z jakiego tonu zacząć należy. Heintz skorzystał z przerwy, aby podnieść kapelusz, umocować na nim bukiet z alpejskich kwiatów i włożyć na głowę. Ewelina wpatrywała się w góry.

Wiosna tym razem późno nadeszła. Dziś, w ostatnim dniu maja, góry i cała roślinność miały jasną zieleń, liście nie były należycie rozwinięte,

ale dolna warstwa podnóża górzystego już się pokryła bujną trawą i kwieciem

Heintz ciągle był zajęty bukietem, mimo to nie spuszczał z oka zamyślonej Eweliny

Musiała ona odczuwać to spojrzenie, bo nagle odwróciła się Piękny bukiet Heintza skupił całą jej uwagę

— Jakież rzadkie kwiaty? — rzekła. — Jeszcze nigdy podobnych nie widziałam.

— Ja równie, chociaż doskonale znam całą florę alpejską. Czy mogę ci moją zdobycz ofiarować? Ma ona dla mnie wysoką cenę, gdyż dokonana z narażeniem życia.

Heintz mówiąc to, wydobył gałązkę okrytą kwieciem i podał młodej kobiecie. Był to rzeczywiście piękny, bardzo piękny kwiat, nadzwyczaj rzadki Smukły prątek miał na sobie masę kwiatów, z kielichami głębokiemi podobnemi do *Enciany*, ale w innym kształcie i rodzaju, kielich przedstawiał się w barwie lekko purpurowej, wewnątrz mieścił się jakby wieniec delikatnych, złotawych nitek, ułożony w formie korony, lekki ale balsamiczny wydawał zapach, słodki i cierpki naprzemiany, niby powiew wiosny, jaki zwykle przeciąga w okolicy alpejskiej.

Ewelina chwilę wzdrygała się z przyjęciem kwiatu, ale ulegając błagalnemu tonowi młodego człowieka, mimowoli wyciągnęła rękę.

— Z niebezpieczeństwem życia? — powtórzyła. — Czy kwiat był tak trudnym do dostania?

— Tak jest, rósł bowiem na wysokiej a niedostępnej rozpadlinie, tuż prawie nad głęboką przepaścią, obok której wartki płynął strumień Jak koza wdarłem się na stromą ścianę i dopóty trzymałem się jej jakby przylepiony, dopóki nie natrafiłem na karłowatą jodłę, na której oparłem nogę i lewą rękę a prawą zerwałem rzadkość alpejską.

— I wszystko to dla kwiatka — rzekła Ewelina na półgłośno Jakież szaleństwo narażać w podobny sposób życie.

— Dla czego? Wszak to także cel do osiągnięcia jak inny. Wierz mi pani, takie narażanie życia ma pewien powab, bo się czuje, co ono jest warte. Był to przedewszystkiem piękny moment, kiedy zawieszony połową ciała nad przepaścią, miałem obok piętrzące się zębiaste, porozrywane piorunami grzbiety skał a nademną niebiański strop, oświetlony promieniami słońca Jedno okamgnienie, lekki zawrot głowy, cień trwogi, byłbym zgubiony. Do tego zwilżała mi czoło pryskająca piana z górskiego strumienia, przygrywały tony leśnych olbrzymów, gulgotanie pędzącej wartko wody a alpejska czarodziejka, ów kwiat tajemniczy, wabił swą pięknością i wonią.

Mówił z całym ogniem zachwytu, a obraz z taką namiętnością malował wyrazami jakby natchnionemi, że oczy Eweliny ze zdumieniem wpatrywały się w niego; na twarzy malowało się przerażenie, jakby opowiadanie miało za przedmiot jakąś olbrzymią katastrofę lub cud niespodziany.

— Nigdy w podobny sposób mówiącego nie słyszałam cię Henryku — rzekła silnie oddychając. — Brzmi to... jak... cudowna poezja

Jasny rumieniec zabarwił twarz młodzieńca, mimo to odezwał się z ironją:

— O wcale nie! To tylko wesołe usposobienie, radość, nic więcej. Poezja jest dziedziną Guida, nie odważyłbym się na niezgrabną fuszerkę. Fuszera nawet łaskawa pani osądziłabyś bardzo surowo, byłbym wyszydzony jak student.

— Zgromiony, jak gromi matka! — odpowiedziała Ewelina poważnie.

— Jak matka! — powtórzył, a wyrazy te wyszły z jego ust szyderczo-ironicznie.

— Czyliż nie rozumiesz, że tu chodzi o twoją przyszłość.

— A więc, mam nadzieję że się uwolnię od opiekowania moją przyszłością, łaskawa pani.

— Żałować tego będziesz. Wyświadczam tobie i mojej Kätchen wcale niepożądaną usługę, bo widzę że ona duszą i ciałem przywiązana do ciebie, gdy tymczasem ty Henryku? Powiedz mi otwarcie, abyśmy raz zakończyli wszystko!

Heintz milczał.

Wczoraj właśnie z całem oburzeniem wzdragał się poddać jarzmu małżeńskiemu, dziś dość mu powiedzieć „dobrze“ aby się od tej ostateczności uwolnić raz na zawsze.

— Sądziłem — rzekł — że żądasz pani mojego zrzeczenia się.

— Najwyraźniej pan mię nie zrozumiałeś! Chciałam tylko ostrzedz, zwrócić uwagę, a prawo to przysługuje mi najzupełniej Kätchen jest jeszcze bardzo młodziutka, nie chciałam zatem ją zobowiązywać do niczego, choćby nawet przez same tylko zaręczyny

Ewelina niezauważała, głębokiego odetchnienia swego słuchacza, któremu jakby spadł ciężar z serca Odezwał się:

— Pragnąłbym poznać człowieka, który ma prowadzić przez życie moją młodą przyjaciółkę.

— Są to niebezpieczne tylko marzenia. Moje otoczenie łudziło mię i ja sama także łudziłam się, dziś jednak poznałam doskonale co mię czeka. Starałam się zbadać moje siły i przekonałam się, że

nie wystarczają nawet na drobną wycieczkę, powróciłam z niej omdlewająca.

— Ależ któż panią upewnił, że cierpienia te są beznadziejne. Lekarze...

— Wzruszają jedynie ramionami, wysyłając mię na południe... Nie tak łatwo umrzeć, gdy się jest młodym i pozbawionym szczęścia. Walczyłam nieustannie, dziś uznaję się zwyciężoną i z pokorą poddaję się memu losowi

Młodzieniec chciał odpowiedzieć ale nie dopuściła go do głosu, mówiąc:

— Nie Henryku już mi żadna pociecha nie pomoże, wierzę, że życie jest drogocennym skarbem, a ty wyczerpujesz go na wybryki niewczesne, lekkomyślne. Posiadasz zdrowie i młodość, czy rozsądnie, czy też to szaleństwo zużywać siły dla błahego upodobania. Czyliż ta cała odwaga i cierpliwość zdobycia kwiatu, nie powinna być zwrócona do celów podnioślejszych? Starałeś się koniecznie przedstawić mi się jako lekkomyślny awanturnik. Może to tylko było chwilowe przywidzenie a może przechwalanie się młodzieńcze?

— Dla mojego ojca i dla reszty osób, wydaję się być godnym potępienia nicponiem Dotąd nie odważyłem się stanowczo zaprzeczyć apodyktycznemu dogmatowi. Czy sądzisz pani, że warto trudu, uczynić mię lepszym?

— Od dzisiaj, tak — rzekła Ewelina

Wówczas uczuła na swej ręce przycisk ust, co tak trwało długo, że zmuszona była wyrwać mu rękę. Nadaremnie. Heintz całował ją i wreszcie wyrzekł:

— Będę próbował się poprawić.

— Biorę więc kwiat ten, jako zakład twojej poprawy, kto wie, czy kwiat ten nie będzie dla ciebie kwiatem szczęścia.

III.

W oddaleniu pół godziny od willi Rehfeldów, na drugiej stronie doliny stał mały domek, bardzo skromnej powierzchowności. Zbudowany w stylu szwajcarskim, otoczony ogródkiem, był on oddawna własnością niewiadomego nabywcy i najmowano go zwykle na letni pobyt.

W tym roku bardzo wcześnie otrzymał gości, lokatorów. Stary człowiek, o którym wiedziano że jest doktorem medycyny, wraz ze swym sługą, zajął go na mieszkanie. Doktor wraz ze swoim młodym asystentem po prostu zamknął się w czterech ścianach niedopuszczając zgoła nikogo do siebie, słynął bowiem jako dziwak i grubijanin. Nie tylko zburczał i odpędził kilku włościan zgłaszających się do niego o poradę, ale nawet pokazał drzwi radcy tajnemu Kronek, który odwiedził go, pragnąc uprosić o pomoc lekarską dla pani Rehfeld.

Obszerny pokój przeznaczony był jako pracownia, dalsze jako bibljoteka i mieszkanie doktora

Było to w godzinach przedobiadowych. Stary siwy kamerdyner doktora porządkował szkła i instrumenta, na wielkim stole służącym prawdopodobnie do doświadczeń chemicznych, gdy tymczasem jego pan stał w oknie, rozpatrując się w okolicy, oświetlonej promieniami słońca.

Doktor Eberhard mężczyzna blisko 50-letni, miał postawę imponującą. Twarz o rysach niezmiernie ostrych, małe usta zacięte zdradzały usposobienie ironiczne, a głos donośny zapowiadał gburowatość i pogardę Doktor przywykł rządzić się własną wolą, nieuznając nikogo godnym rozpoczęcia z nim rozmowy.

— Marcin — zawołał nieoglądając się. — Skoro wejdzie osoba, która zapowiedziała swoją wizytę, wprowadzisz ją.

— Tu? Do bibljoteki? — zawołał kamerdyner.

— Co ci przyszło do głowy? Do sali przyjęcia.

— Tak, to co innego — mruknął stary. — Pierwszy raz dopiero pojawi się u nas młoda dziewczyna. Doprawdy, nie rozumiem czego ona tu szuka?

— Ja tak samo pomyślałem — odpowiedział doktor. — Dom ma być sprzedany, jak mi to mówił sam gospodarz, i ta pani Katarzyna Rehfeld, czy jak ją tam nazywają, prawdopodobnie przychodzi go obejrzeć, ale nic z tego. Nająłem całą posiadłość aż do następnej wiosny, jestem tu panem i posiadaczem i niepożądanych gości wyrzucę za drzwi.

— Tak, tak! — powtórzył Marcin, któremu takie postąpienie nadzwyczaj się podobało Rehfeld nazywa się posiadacz tej willi, jest to wdowa z córką

— Podług mnie babka z sześciorgiem wnucząt Co mię to obchodzi! — zawołał rozgniewany Eberhard. — Zresztą muszę ich przyjąć, być może że zakupią tylne skrzydło domu, a potem zaczną budować, ale ja nie dopuszczę do tego, dopóki tu mieszkam. Tak ich uraczę, jak przedwczoraj tego nudnego radcę tajnego, który mi chciał zaimponować swoim tytułem i orderami.

— Ten już tutaj niepowróci — rzekł Marcin. — Pan byłeś grubijaninem, nawet obszedłeś się z nim po szynkarsku.

Chciał tym sposobem złożyć panu swemu podziękowanie, za to, że jest człowiekiem bez wychowania.

— Idź i zawołaj mi doktora Gilberta.

Marcin wypełnił rozkaz, wychodząc zaś mruknął:

— Dom kupić... nas wypędzić .. no, no, niech sprobuje ta panna.

Jednakże spodziewana wizyta jakoś odwlekała się. Doktor chodził po pokoju wielkiemi krokami, gdy się pojawił asystent. Był to człowiek młody najwyżej 24-letni, postaci wysmukłej, z twarzą bardzo sympatyczną ale bladą, z rysami prawdziwie dziecinnemi, zdradzającemi nieśmiałość i zgnębienie. W bardzo pokornym tonie pozdrowił on Eberharda, który na powitanie odpowiedział lekkiem schyleniem głowy.

(C. d. n.)

CYKLON SWIATEM.

(Dokończenie).

— Więc wolisz widzieć mnie nieszczęśliwym?

Rachela, która dotąd stała, musiała usiąść zanim zdołała wyszepnąć:

— Tak!..

— A zatem, kiedy ostatni raz mówiłaś mi na wyspie, że...

— Och! proszę pana...

I nagle znów zawołała:

— Jared!

Archy nie zrozumiał, iż czując, że ją siły opuszczają, wezwała na pomoc brata, który właśnie przechodził koło drzwi szklannych. Sądził, że ona chce w ten sposób zakończyć rozmowę i tknięty do żywego, pochwycił za kapelusz.

— Nie chcę przedłużać rozmowy, która pani taką przykrość sprawia. Życzę pani wszelkiego szczęścia, miss Meadowes.

Ona, nie podnosząc oczu, wyciągała ku niemu rękę z małą paczką. Ale on już się był odwrócił. Biedaczka wsunęła do biblii kilka wierszy skropionych łzami, i zawinęła książkę wraz z listami i drobnemi upominkami, które otrzymała od Archy'ego. Paczka wyśliznęła się z jej palców bezwładnych, a w chwili gdy pod krokami Archy'ego trzeszczał żwir w alei, Rachela padła w objęcia brata, zemdlawszy po raz pierwszy w życiu.

* * *

Archy szedł szybko. Dziś jeszcze czuje kurcz w gardle na wspomnienie godzin, które wtedy przeżył. Czuł wściekłość rozpaczy, gniew na Rachelę, że się go wyrzekła tak łatwo; gniew na siebie samego, że w chwili uniesienia wygrał ostatnią kartę. Silił się na cyniczną wesołość, a poczuł w oczach łzy gorące na wspomnienie jakiegoś zdarzenia z przeszłego tygodnia, na wspomnienie srebrzystego śmiechu Racheli. Jak długo tak błądził, nie umiałby tego powiedzieć, ale kiedy się opamiętał trochę, ujrzał się za miastem, wśród łąk i pól Noc zapadała. Niektórzy psychiatrzy każą chodzić swoim pacjentom aż do wyczerpania sił; czy ten system nie dałby się przypadkiem zastosować do zakochanych, którzy są także trochę warjatami? Koniec końcem, dobre serce Archy'ego poczęło rozgrzeszać Rachelę; zaczął nawet odgadywać prawdę i odzyskiwać nadzieję ..

Zawrócił ku miastu i postanowił przejść przed dom Meadowesów. Nie wejdzie doń naturalnie, ale gdyby przypadkiem ..

Przechodząc przez plac przed kolegium, usłyszał śmiech młodej dziewczyny.

— Patrz pan, jakie to niebo zabawne — mówiła śmieszka do stojącego obok niej studenta. — Nie widzisz pan?

— Ja wolę patrzeć na co innego — odrzekł student.

Archy, zniecierpliwiony, minął ich prędko. Ale niebo rzeczywiście dziwnie wyglądało. Choć słońce już zaszło, zachód, aż po zenit, gorzał krwawym blaskiem. Chmury, w kształcie ostrokręgów, czarnych jak atrament, nurzały się w tem fantastycznem ognisku. Archy spostrzegł nagle, że panuje niezwykła cisza. Nie słychać było ani świegotu ptasząt, ani brzęku owadów.

— Przeklęta noc! — mruknął, zdjęty niepojętą trwogą.

Szedł dalej, minął dom Meadowesów, po-

stanowiwszy zajść do hotelu i napisać do Racheli. Wtedy przypomniał sobie, że nie jadł nic od obiadu. Nagle ujrzał Rachelę wychodzącą z domu. Ciemność nie pozwalała mu dojrzeć twarzy, ale poznał ją po figurze i po szalu niebieskim, który zwykle nosiła. Miotany nadzieją i niecierpliwością, poskoczył za nią. Ale naraz sylwetka jej zdawała się zacierać, blaski złowrogie bladły, czarne chmury poczęły się obniżać, ciemne masy drzew poczęły się poruszać. Nagle powietrze zadrżało jakimś straszliwym zgiełkiem, który później porównywano z rozmaitemi odgłosami, ale który w swej okropności do żadnego z nich nie był podobny. To cyklon zahuczał! Niebo i ziemia stały się jednym chaosem. Największe drzewa skręcone, złamane, padały. Domy, wyrwane z posad, pochwycone wichrem, rozbite w gruz, rozsypywały się niby garść piasku. Przestrzeń istnieć przestała. W powietrzu kotłowały się jakieś postacie niknące, jakieś krzyki rozpaczliwe

Archy ujrzał Rachelę o kilka kroków; pochwycił ją wpół i rzucił ją, a raczej pozwolił się rzucić wraz z nią na korzenie wielkiego wiązu.

— Odwagi! — krzyknął — połóż się pani, chwyć się korzeni, i nie puszczaj, jeśli ci życie miłe!

Głowa i ramiona dziewczęcia, uwikłane między korzenie, były w części osłonięte: zresztą Archy okrywał ją swojem ciałem. Czuł, jak członki jego gną się pod huraganem, zdało mu się, że muskuły jego rwą się pod naciskiem strasznej siły, ale uczepił się korzeni ze straszliwą energią strachu. Po nad głową jego niósł cyklon belki, gałęzie, tafle marmurowe, bydło rogate, poduszki... któżby to wszystko wyliczyć zdołał! Po prawej stronie ujrzał dom zgnieciony, jak skorupkę z jaja: po lewej cały szereg domów zwalił się wśród straszliwych wrzasków. Kule ogniste unosiły się ponad samą ziemią. Jakaś twarz — twarz owej dziewczyny, która się śmiała przed chwilą, ukazała mu się blada, zmieniona i znikła. O kilka kroków od nich biegł jakiś człowiek, wyjąc; wiatr pochwycił go i uniósł. Z pośród drzew, jakiś cienki rozpaczliwy głosik wołał:

— Mamo!

Za nimi kilku rannych jęczało bez ustanku, jakaś kobieta krzyczała:

— Moje dziecko! moje dziecko!

Burza szła ponad nimi świszcząc, unosząc z sobą domy, spichrze, drzewa; napotkała kolegium i zdmuchnęła wielki budynek murowany niby domek z kart; zdjęła dach i pierwsze piętro, i plunęła ulewą szyb, okiennic, kamieni, szczątków domków profesorskich.

Najgorsze chwile wreszcie przeszły. Leżąc jeszcze na ziemi, już wyraźniej słyszeli głosy dokoła siebie.

— Chwała Bogu! koniec! — krzyknął jakiś mężczyzna.

— Ale i ze mną także koniec, — odezwał się drugi. — Mam złamane obie nogi i kość pacierzową, jak mi się zdaje. Kto ma nogi, niech poszuka dziecka tej kobiety.

Cyklon przeszedł, ale wicher dął jeszcze jak burza a deszcz lał taki, jakiego jeszcze nigdy nie widziano w Grinell, istna katarakta! Niepodobna było ani oddychać, ani ustać na nogach. Ciemność była przerażająca.

Archy zdołał się podźwignąć i podniósł Rachelę.

Ona, łkając, chwyciła się jego ręki.

— Co to jest?... Co się z nimi stało?... Kapitanie, powiedz mi co to było?

Nie poznał głosu Racheli.

W tej chwili niebo spłonęło z jednego końca widnokręgu w drugi. Straszny huk piorunowy stłumił wszystkie odgłosy trwogi ludzkiej. Ci co tam byli nigdy nie zapomną widoku tego pola bitwy, oświeconego chwilowo i natychmiast znów pochłoniętego przez ciemność. Jatka i spustoszenie; obłąkane, blade twarze, sterczące z żywych grobów,..

Archy atoli widział jedną tylko rzecz; przerażoną twarz miss Baker.

— Gdzie jest Rachela? — wrzasnął.

— W domu, i on... on... Patrz pan!

Przez płachtę deszczu, przy świetle nowej błyskawicy, ujrzeli oboje... dom zniknął!

Miss Baker, energiczniejsza teraz z nich dwojga, rzuciła domysł, że zapewne schronili się do piwnic.

— Chodźmy — rzekł Archy — ale nie mogę zostawić tego dziecka na drzewie.

Mały jeniec szczęśliwie uczepiony był na swojej sukience, która była okręcona na gałęzi, jak gdyby cyklon chciał go do niej przywiązać. Archy poniósł go po omacku do piwnicy. Na głos dziecka wyskoczyła jakaś kobieta. Opowiedziała, że wszyscy zdołali się ocalić bez szwanku, z wyjątkiem jednego ciężko

ranionego, który zaklinał innych, aby go zostawili a nieśli pomoc gdzieindziej.

— Zostałbym chętnie — rzekła miss Baker — ale dom nasz się zawalił, a Rachela, pan Meadowes...

— Och! biegnij, pani, biegnij! — zawołała kobieta.

Jakkolwiek było im pilno, szli jednak powoli, gdyż ziemia pełna była dziur i zawalona szczątkami wszelkiego rodzaju: drzewami wyrwanemi z korzeniem, powalonemi słupami, ruchomościami potrzaskanemi w drzazgi. Archy potknął się o konia zdechłego, rozciągniętego na podścielisku z pierza; następnie stłukł sobie kolano o piec kuchenny.

Jakaś latarka nagle zbliżyła się do ich twarzy i jakiś człowiek wrzasnął jak warjat:

— Czy dom Tomasza Reynoldsa zawalił się?

Nie wiedzieli co odpowiedzieć, ale pytający poszedł dalej, zakrywszy latarką twarz obłąkaną. Fantastyczne i straszne były te nagłe spotkania istot zrozpaczonych, które w mgnieniu oka tonęły znów w deszczu i nocy.

Krzyki, wycia, jęki wzmagały się, spotęgowane innemi głosami, gdyż ci, co szukali zabitych i rannych, nawoływali się wzajemnie. Światła błyszczały we wszystkich kierunkach. Większa część mieszczan w chwili cyklonu znajdowała się na ulicach handlowych, a ta część miasta uszła katastrofy. Widzieli oni srożącą się burzę, i jak tylko zdołali utrzymać się na nogach, pospieszyli na pomoc z latarniami. Archy widział przechodzącego jednego mężczyznę, potem drugiego; trzeci wyrwał mu miss Baker, opartą na jego ręku krzycząc:

— Bogu bądź chwała! Weź pan to — dodał, podając Archy'emu siekierę i latarkę.

Oswobodziwszy sobie w ten sposób ręce, przycisnął czule miss Baker do swoich piersi. Był to stary Jared Meadowes.

— A Rachela? — zapytał dysząc Archy.

— Rachela zdrowa; schroniliśmy się do piwnicy Ale ty, Lido?

— Gdyby nie kapitan Barris, jużbym nie żyła — odrzekła miss Baker uroczyście. — On tylko nie dał mnie porwać cyklonowi!

Meadowes pochwycił Archy'ego poniżej łokcia, nie mogąc uścisnąć jego rąk, które trzymały siekierę i latarnię.

— To moja przyszła żona, — rzekł głosem zdławionym — myślałem, że nie żyje!

Nie myślał dziękować inaczej, uważając, że te kilka słów wystarczą.

— Lido, — rzekł — moi chłopcy byli w kolegium... idę ich szukać... Czy odprowadzisz ją kapitanie?

— Pójdę sama — oświadczyła miss Baker, która okazywała zimną krew i stanowczość niespodziewaną. — Znam drogę i nic mi nie jest. Wy obaj będziecie tam potrzebni, a mnie tylko byście przeszkadzali, gdyż przy was nie mogłabym się nawet ugiąć jak należy.

Nie chciała nawet wziąć latarni, twierdząc, że się bez niej obejdzie. Rozstali się więc z nią i poszli w stronę kolegium; nie uszli atoli nawet paręset kroków, gdy Meadowes, wymachując latarnią, krzyknął:

— Hej! Ossie, bywaj!

Chłopiec z krzykiem radości przybiegł, skacząc przez belki i drzewa, i zaczął opowiadać, że pięciu studentów znajduje się pod ruinami budynku, a trzech co najmniej pod zniesionym dachem kolegium. On sam, czując, że się budynek chwieje, wyskoczył oknem; potłukł się trochę, podrapał, ale ważniejszego, szwanku nie poniósł. Jared skaleczył się w nogę. Ossie zdołał go wydobyć z gruzów, i w tej chwili pomaga do usunięcia cegieł, które przygniotły kolegów, mówiąc, iż może to robić, gdyż ręce ma w dobrym stanie, a jemu, Ossiemu, kazał biedz po pomoc i dowiedzieć się, co się dzieje z rodziną

— Biegaj chłopcze czemprędzej! — rzekł ojciec; ale gdy chłopiec odszedł, zwrócił się do Archy'ego z miną żałosną:

— Zdaje mi się — rzekł, — że nie ma oka wybitego, że to tylko powieka zdrapana. Jak pan sądzisz? Nie chciałem go zatrzymywać...

— Ale tylko powieka! Jestem tego jak najpewniejszy!

Stary wydał westchnienie ulgi.

— Chodź pan, — rzekł — Jaki pan masz wzrok znakomity!

* * *

Noc, która potem nastąpiła, była najstraszniejszą, najopłakańszą w ale i najwznioślejszą dziejach miasta Grinell. Słusznie nazwano to miasto kolonią purytańską. Tej nocy, wśród zniszczenia i grozy, ci prości ludzie wznieśli się na wyżyny bohaterstwa. Siła, spokój w niebezpieczeństwie, odwaga, zdrowy rozsądek, podziwu godne poświęcenie obywatelskie, słowem

wszystkie surowe cnoty purytańskie ujawniły się w ciągu tej nocy, a oprócz tego szczodra ofiarność i filozoficzna wytrwałość.

Archy i stary Meadowes całą noc pracowali obok siebie, w pośród scen czasem strasznych i rozdzierających.

Archy spodziewał się w starym żołnierzu Johna Browna znaleźć zimną krew, odwagę, cierpliwość, słowem, wszystko to co stanowi dzielnego człowieka, ale niespodzianką dlań było, gdy go ujrzał przy rannych łagodnym jak kobieta, a szeroko rozwarł oczy na widok cyfry, jaką Meadowes wypisał na pierwszej liście składek.

— Jest to ofiara Panu Zastępów — rzekł uroczyście, — za miłosierdzie jakie okazał nademną tej nocy.

Obaj pracowali w największej ze sobą harmonii. Archy, mimo okropności jakie ich ciągle otaczały, uśmiechał się niekiedy, widząc do jakiego stopnia ojciec Racheli liczył na jego bystry rzut oka i na siłę jego muskułów. Naraz rzucił mu jakiś wyraz pochwały, mruknięty tonem szorstkim. W końcu poklepał go po ramieniu:

— No, będzie tego dosyć! Rachela dała mi znać, że nasz spichrz ostał się cały. Ona z Lidą urządziły tam kuchenkę naftową i przygotowały dla nas szynkę, biszkopty i kawę gorącą. Już dzień, możemy spocząć trochę. Jest tam i Jorad; radbym zobaczyć jak tam z jego nogą, a Lida czeka na pana aby mu podziękować.

Głos jego stał się poważnym; czuć w nim było głębokie wzruszenie:

— I ja jeszcze nie podziękowałem panu jak należało.

Kilka razy podczas tych ostatnich godzin przychodziło Archy'emu na myśl, że zdobywa przyjaźń starego Meadowesa, dzięki kłamstwu, a przynajmniej przemilczeniu prawdy. Wielka to przecież różnica ryzykować życie dla kobiety którą się kocha, albo dla cudzej narzeczonej.

Pokusa była wielka, zdawało mu się, że widzi spichrz i kawę dymiącą i wdzięczną głowę i uśmiechnięte oczy Racheli. A jednak rzekł, prawie opryskliwie:

— Nie masz mi pan za co dziękować... Ja .. ja wziąłem miss Baker za Rachelę.

Na ustach Meadowesa osiadł grymas nieco szyderczy. Lubo purytanin, był jednak człowiekiem Zachodu.

— Założę się, że pan czułeś się jakby na rozpalonych węglach, zanim się zdecydowałeś, czy mi to powiedzieć, czy też wykręcić się dwuznacznikiem...

Twarz jego złagodniała.

— Lida jest podobna do Racheli i obie mają chód jednakowy. To mnie właśnie najprzód pociągnęło ku niej...

Zawahał się.

— Sądzę, że pan zrobiłbyś to samo, choćbyś wiedział prawdę.

— No, naturalnie! — zawołał Archy oburzony.

— A więc, zobowiązanie zostaje w swojej mocy. Ale rad jestem, że pan to powiedziałeś: że nie chciałeś przyjąć wdzięczności, która się panu nie należała. Moim głównym zarzutem przeciwko pańskiemu małżeństwu z moją córką, był pański brak zasad, ale widzę, że pan masz sumienie, lubo mocno zamglone. Tej nocy okazałeś się człowiekiem. Nie ufałem także pańskiemu sercu; ale kiedy ujrzałem, jak na widok tego oślepłego dziecka, które usiłowało obudzić matkę nieżywą, ocierałeś ukradkiem oczy kułakiem, nie myśląc o tem, że się mażesz na czarno... Oh! nie obcieraj się. To darmo, mój chłopcze, jesteś od stóp do głów okryty błotem i sadzą, a surdut masz pęknięty na plecach! Rodzona matka by cię nie poznała! Ale Rachela cię pozna, bądź spokojny. Chodź, urządzicie razem swoje interesa, jak wam się podoba.

Nie potrzeba dodawać, że ta propozycja została przyjętą. Archy był markotny, że stary nie pozwolił mu pójść do hotelu, zmienić choć trochę toaletę. Ale Rachela ze łzami szczęścia zarzuciła mu białe ręce na szyję, nie bacząc na surdut dziurawy.

— Teraz mnie już nie odpędzisz?... — szeptał Archy w uniesieniu. — Mamy we dwoje urządzić nasze interesa, twój ojciec mi to powiedział. My teraz jesteśmy przyjaciółmi... Co prawda, na to trzeba było ni mniej ni więcej, tylko — cyklonu!



Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.